

Janina Szurek

CIOCIA DORA

Muszyna jest miastem, w którym ostatni rok życia spędziła moja ukochana ciocia, Teodora z Mecenseffych Medwecka, najstarsza siostra mojej matki. Pamiętam ten słoneczny dzień majowy 1945 roku, gdy dotarła do nas wiadomość o jej śmierci. Do nas – to znaczy do małej willi w starym stylu góralskim na stoku góry, w pobliżu mostu na Wierchomlance i stacji kolejowej Wierchomla, postawionej i zamieszkaney przez rodzinę Szurków od 1938 roku.

Ojciec mój, inż. Michał Szurek, leśnik i miłośnik przyrody, nadał jej nazwę „Gniazdo”. I rzeczywiście – przez cały okres okupacji niemieckiej była schronieniem - gniazdem nie tylko dla sióstr mojej matki, ale i dla dalszych krewnych i znajomych, zagrożonych represjami ze strony Niemców, czy też fanatyków ukraińskich z terenów ówczesnych kresów wschodnich. Ojciec mój nie żył od roku 1940. W maju 1945 roku „Gniazdo” już opustoszało i przebywała w nim tylko moja matka, Zofia z Mecenseffych Szurkowa, siostra matki Kazimiera Zarembina, mój brat Zdzisław i ja. Wiadomość o śmierci cioci Dory dotarła do nas przez telefon kolejowy, przyniesiona do „Gniazda” przez kogoś z rodziny pana Piotra Poręby, który pełnił funkcję dróżnika kolejowego i mieszkał na stacji Wierchomla. Było to dla nas wielkim zaskoczeniem, bo od przejścia frontu w styczniu 1945 roku, po zerwaniu torów kolejowych przez cofających się Niemców i wysadzeniu tunelu w Żegiestowie, nie mieliśmy żadnego kontaktu z Muszyną, dokąd przenieśli się od nas Henryk i Jadwiga Kalińscy z paromiesięcznym synkiem Witoldem oraz rodzicami Isi - Jadwigi, wujostwem Medweckimi. Kalińscy dostali tam pracę w szkolnictwie.

Na pogrzeb cioci Dory wybrałyśmy się we trzy: moja matka, ciocia Kazia i ja. Oczywiście piechotą, bo nie było innej możliwości. Dzień 15 maja był bardzo upalny. Nieraz się później dziwiłam, jak moja pięćdziesięciopięcioletnia wtedy matka, często zapadająca na zdrowiu, oraz jej starsza o kilka lat siostra, zniosły tę bardzo uciążliwą drogę, ponad dwudziestokilometrową. Pogrzeb odbył się 16 maja. Nie potrafię sobie dziś przypomnieć, jak wracałyśmy do Wierchomli. Chyba ktoś nas odwiózł końmi do Żegiestowa.

Ciocia Dora była niewidoma. Straciła wzrok, prawdopodobnie, gdy miała około 45 lat. Odkąd sięgam pamięcią była siwa i widziała tylko szare zarysy ludzi i przedmiotów. Nie wiem, co było przyczyną utraty wzroku. Coś się mówiło o długim leczeniu w Krakowie, ale szczegółów nie pamiętam. Wiem jednak i od mojej matki, i od ciotek, że była najładniejsza z sióstr, co też potwierdzają fotografie. Szczególnie lubię oglądać starą fotografię z roku 1907, na której są prawie wszyscy członkowie rodziny mojej matki, wtedy żyjący. Jest to weselne zdjęcie gości z państwem młodymi, po ślubie wujostwa Medweckich.

Rodzice sześciu córek i dwu synów, Wanda Pobóg Niementowska i Bronisław Mecenseffy, przemieszkawali w różnych miejscowościach ówczesnego państwa, cesarstwa Austro-Węgier; najdłużej mieszkali w Stanisławowie, obecnie noszącym nazwę Iwano-Frankiwnsk, na Ukrainie. To wielodzielne małżeństwo nie było jednak w pełni udane. Dziadek Bronisław, Węgier z pochodzenia, miał naturę bujną i chyba nie dość odpowiedzialną. Był urzędnikiem w Dyrekcji Kolei Państwowych w Stanisławowie. Stanowisko było wysokie, ale z zabezpieczeniem posagów dla sześciu córek i wykształceniem dwu synów było raczej krucho. Zmartwienia się mnożyły, babcia Wanda zaczęła chorować na cukrzycę, kuracja była kosztowna, dwie młodsze córki były chorowite. Wielkim ciosem dla rodziny stała się tragiczna śmierć w Sarajewie – i to w okolicznościach nie do końca wyjaśnionych – najstarszego syna, Karola, ukochanego przez matkę i siostry, uważanego za ostoję i nadzieję rodziny. Gdy zmarła również matka w roku 1902, a ojciec wyjechał do Wiednia do swoich krewnych, siostrzenicom przyszedł z pomocą starszy brat matki, Mieczysław Pobóg Niementowski, oraz serdeczne przyjaciółki matki. Szczególnie jedna, której nazwiska nie pamiętam, a której mąż, z racji wysokiego stanowiska w Lwowskiej Dyrekcji Poczty i Telegrafów, załatwił pannom pracę na pocztach w różnych miejscowościach podgórskich. Musiały się siostry rozdzielić. Dora, Lina i Kazia pracowały na poczcie, Mulka i Jadzia zostały nauczycielkami. Opiekę nad Ludwikiem przejęła rodzina drugiego brata matki, we Lwowie.

Najmłodsza Zosia, osierocona w dwunastym roku życia, często mdlała i miewała gorączkę. Wada serca i uporczywy kaszel powodowały, że mało chodziła do szkoły. Gdyby nie troskliwa, matczyna opieka najstarszej siostry, Dory, prawdopodobnie zmarłaby młodo. Dla niej Dora, dla górskiego, świeżego powietrza, pracowała u podnóża Czarnohory, w miejscowości Jamna, gdzie serdecznej gościny udzielała im w swej willi przyjaciółka zmarłej matki.

Jakże dziwnie układają się ludzkie dzieje! Ta właśnie chorowita Zosia, pomimo licznych kolejnych chorób, przeżyła wszystkie siostry. Zawsze twierdziła, że zawdzięcza życie czulej opiece Dory, a później swego męża, Michała Szurka. Toteż w domach Zofii i Michała – czy to w Krakowie, czy w Jasieniu, czy w Wierchomli na folwarku, czy w czasie wojny w „Gnieździe”, ciocia Dora i jej rodzina były zawsze na pierwszym miejscu. Wspomniana fotografia poślubna Medweckich, na której są wszystkie „Mecensefki” – jak je później nazywali szwagrowie – przypomniała mi osobliwą historię skojarzenia ich małżeństwa. Początek XX wieku to były jeszcze czasy, gdy panny bez posagów nie miały szans na tzw. dobre zamążpójście. Panny Mecenseffy były ambitne, pracowały na swoje utrzymanie, a ponieważ wszystkie były ładne i z dobrego domu, konkurentów, nieliczących na posagi, nie brakowało. Wzorem jednak najstarszej odrzucały konkury i dopiero po jej zamążpójściu poślubiły kolegów poczciarzy: Paulina Jerzego Zbigniewskiego, a Kazimiera – Janusza Zarembę. Maria i Jadwiga pozostały niezamężne.

Dora, całym sercem oddana opiece nad Zosią zagrożoną gruźlicą, w ogóle wykreśliła małżeństwo ze swego życia. Dopiero w 5 lat po śmierci matki zaistniały okoliczności, dzięki którym te śluby panieńskie stały się nieaktualne. A było to tak.

Nie wiem, na której poczcie wtedy pracowała Dora. Może w Delatynie, a może w Jamnie. Zakochał się w niej kolega z poczty, Antoni Medwecki. Odrzuciła oświadczyzny. Ale trafiła kosa na kamień. Konkurent nie dał się zrazić motywem odmowy, mianowicie, że ona ma już 30 lat, a on jest o kilka lat młodszy, i że takie małżeństwo nie ma sensu. Któregoś dnia stanął przed hardą panną z rewolwerem w ręku, oświadczając, że jeśli w tej chwili się nie zgodzi zostać jego żoną, to zastrzeli ją i siebie. Na takie dictum – uległa, zapewne w nadziei, że gdy będzie odwlekać datę ślubu, młodemu szaleńcowi jakoś przejdzie. Ale widać Opatrzność Boska miała także coś do powiedzenia. Bo oto ni stąd, ni zowąd siedemnastoletnia Zosia oświadczyła siostrze i przyjaciółce matki, u której w Jamnie mieszkały, a która chciała wydać Zosię za swego brata, że spodobały się jej oświadczyzny dwudziestotrzyletniego inżyniera leśnika, który ją poprzedniego dnia pierwszy raz zobaczył, zakochał się od pierwszego spojrzenia i następnego dnia poprosił o rękę panny Zosi jej zdumioną opiekunkę.

Uspokojona o dalszy los Zosi, Dora poślubiła upartego narzeczonego. I tak oto w 1907 roku obie siostry, najstarsza i najmłodsza, wyszły za mąż, dając początek ślubom dalszych sióstr. Na załączonej fotografii, wśród gości weselnych małżeństwa Medweckich, jest też mój ojciec Michał Szurek, trzymający rękę swej narzeczonej Zosi, która siedzi na krześle.



Zdjęcie wykonane po ślubie Dory i Antoniego Medweckich. Po lewej stronie stoi, zwrócona profilem, Kazia Mecenseffy, najwyżej wuj Mieczysław Niementowski, w środku państwo młodzi, na krześle z prawej strony siedzi Zosia, a narzeczonemu Michał (Michał Szurek) trzyma jej rękę, obok Zosi siedzi Jadzia, za nią stoi Mulka. Pozostałe osoby to przyjaciółki matki z rodzinami (1907 r.)

Małżeństwo Medweckich układało się rozmaicie. Niestety stracili pierworodną córeczkę, która zmarła jako niemowlę. Byłaby rówieśnicą mojej siostry, Gabrieli z Szurków Urbanowskiej, zamieszkałej w Wierchomli od roku 1958, tam zmarłej i pochowanej w 1999 roku. Druga córka wujostwa Medweckich, Jadwiga nazywana Isią, była z kolei moją rówieśnicą. Była mi bliższa niż moje rodzeństwo, o kilka lat ode mnie starsze. Odkad pamiętam byliśmy razem. W lecie wszędzie tam, gdzie mieszkali moi rodzice, bardzo często razem na ferie świąteczne, szczególnie zimą, razem w dwóch klasach szkoły powszechnej, a potem razem w gimnazjum, aż do matury w Stanisławowie. Razem bawiliśmy się lalkami, razem jeździliśmy konno, a także razem kochałyśmy się w tych samych idolach. Dopiero wyższe studia nas rozłączyły. Isia była we Lwowie, a ja w Warszawie, ale lato – znowu razem, już w Wierchomli, w 1936 i 1937 roku.



Wujostwo Medweccy z Isią (1922). Obie fotografie z archiwum autorki

Gdy pod koniec wojny na kresach wschodnich zaczęły się zamieszki ukraińskie i terror ze strony nacjonalistów ukraińskich stał się groźny, Isia wraz z mężem Henrykiem Kalińskim i rodzicami zjechała do nas, do „Gniazda”, prawie bez bagażu, szukać schronienia. Ucieszyłam się, że znowu będą przy mnie kochane: ciocia Dora i Isia. Do ciotki Dory przywiązałam się najserdeczniej, gdy miałam 8 - 9 lat i mieszkałam u wujostwa Medweckich w Nadwornie. Tu, w drugiej i trzeciej klasie szkoły powszechnej uczyliśmy się razem z Isią w latach 1925-1926. Czytać, pisać i rachować po polsku nauczył mnie w Jasieniu miejscowy nauczyciel Rusin, dziś powiedziałoby się Ukraińiec. Jasień, wieś w głębi Gorganów¹, był daleko od polskich szkół. Wsie w Gorganach zamieszkiwali Rusini z grupy etnicznej Bojków.

¹ Gorgany – pasmo górskie w Beskidach Wschodnich, na Ukrainie, najwyższy szczyt to Sywula (1818 m). /Przyp. red./.

Dobrze wspominam ten dwuletni pobyt w Nadwórnem. Wieczorami wujcio Tolek głośno czytał niewidomej żonie powieści, najczęściej historyczne, z czego i myśmy korzystały. Ciocia Dora umiała ukoić moją tęsknotę za rodzinnym domem swoimi opowiadaniem, których nigdy nie było mi dość. Opowiadała o przeszłości rodów Niementowskich i Mecenseffych, o dawnej świetności, o powstaniach, o podróżach przodków, o balach na cesarskim dworze, o strojach, o koligacjach, o ciekawych ludziach. Utkwiły mi w pamięci dwa opowiadania o jakiejś prababce z rodu Mecenseffych, której imienia nie pamiętam. Miała jakiś „klucz wsi” i pałac, ale wybranych gości przyjmowała nie na salonach, tylko w stajni, gdzie wkoło ustawione były fotele i stoliczki, a ze wszystkich stron ku gościom z boksów wychylały się łby rasowych koni, chrupiących owies i jakby przytakujących rozmowom. Widziałam to oczyma dziecięcej wyobraźni, jakbym sama tam była... A ta prababka z zamierzchłej przeszłości, baronowa Adler von Mecenseffy, paliła fajkę na długim cybuchu i kiedyś tak się rozwścieczyła, że chwyciła swego małego syna, wbiegła z nim do pałacowej kuchni i wrzuciła dziecko do rozgrzanego piekarskiego pieca, przygotowanego do pieczenia chleba. Na szczęście służba skoczyła ratować nieszczęsnego panicza i zapobiegła zbrodni.

Od cioci Dory usłyszałam o dwu pięknych pannach Mecenseffy: Paulinie, która poślubiła hrabiego Tyszkiewicza na Wileńszczyźnie, i Maryli, siostrze ojca, którą polubił Artur Grottger, gdy w jakimś kurorcie alpejskim próbowali ratować się przed gruźlicą. Wspominał o niej w liście do narzeczonej. Fotografję tej Maryli znalazłam w książce autobiograficznej Chłędowskiego, który się w niej kochał. Zmarła w wieku 28 lat i spoczywa w grobowcu Mecenseffych na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Od cioci Dory też dowiedziałam się, że matka sióstr, Wanda z Niementowskich, miała dziewięciu starszych braci, dzieci Emilii z Krynickich i Feliksa Pobóg Niementowskiego. Dwu z nich dobrze pamiętam ze Stanisławowa – Mieczysława i Józefa. Mieszkali z ciocią Jadzią. Po śmierci Wandy, „Wuj” stał się wśród nas seniorem rodu, dla trzech pokoleń. Opowieści cioci Dory i później cioci Liny zapadły głęboko w moją podświadomość i teraz usiłuję je odtworzyć. Bardzo żałuję, że za mało zadawałam im pytań i że nie przychodziło mi do głowy, żeby notować ich opowieści. Nie zapomnę też troskliwej opieki cioci Dory, gdy obie z Isią ciężko chorowałyśmy na odrę. Również i w Wierchomli, w czasie wojny, gdy Kalińscy, Medweccy, a także dwie siostry wujcia Tolka, gdy wszyscy oni znaleźli azyl w naszym „Gnieździe”, cieszyły mnie rozmowy z ciocią Dorą. Jej też zawdzięczam wykurowanie mnie jakimiś znachorskimi sposobami, gdy leżałam w gorączce, obolała i opuchnięta, pokłuta przez jakieś wyjątkowo złośliwe komary, gdy pałam krowy nad Popradem.

Zabrakło czasu i okazji, żebym mogła mojej ukochanej cioci okazać swój szacunek i wdzięczność za to, czym była dla mojej matki i dla mnie. Dlatego ile razy przyjeżdżam do Muszyny, idę na cmentarz i tam serdecznie ją wspominam. W czerwcu 1945 roku, w miesiąc po jej pogrzebie, napisałam wiersz, wspomnienie ostatniej wspólnej wigilii. Niech teraz będzie podziękowaniem cioci Dorze za to, że była w moim życiu.

CIOCIA DORA

Była wigilia,
Pamiętam,
Siedziałam obok.
Włosy białe, nad czołem wzniesione;
powieki na niewidzących
oczach...
nosek drobny...
KAMEA.
I ten uśmiech...
drwinka oszukująca,
jak gdyby sekret znała.
Pamiętam.
Twarz bez barwy
i sukni czarna plama.
Siedziała wyprostowana.
DAMA.
Milczała.
Obojętność
w kącikach ust przywarła.
Pamiętam.

Nie ma jej już.
Umarła.

Na plebanii w Muszynie, w księgach zmarłych i pochowanych na muszyńskim cmentarzu, jest zapis: „Teodora Medwecka ur. 1877 w Radwanach Hungaria, zm. 14 maja 1945 r., pochowana 16 maja 1945 r.”